

EWA SCHILLING

NADFIOLTE

SEDOJA



OD AUTORKI

Nadfiolet pisałam ponad dwanaście lat temu. Wracając do niego po tak długim czasie, zmieniłam niejedno, nie uzupełniłam jednak swojej ówczesnej świadomości wiedzą o wydarzeniach, które nastąpiły później i których nie przewidziałam. Wydaje mi się, że dzięki temu lepiej widać powiązania między tamtą przeszłością a teraźniejszością.

NADFIOLET

O piątej rano było chłodno. Park pełen wilgotnego cienia i ciszy, alejki puste. I tylko jedna obserwatorka wprowadzająca zmiany do układu. Najpierw złapała kroplę rosy z gałązki *Rosa canina* na palec i oblizła go. Potem, tak samo jak poranne światło, rozejrzała się z ciekawością po nieznanym miejscu. Delikatne złoto słonecznego blasku okrywało beton starych bloków, jakby próbowało poprawić humor tej smutnej architektury. Wyglądały teraz jak rząd górników protestujących przed Sejmem, którzy zaintonowali nagle „Mesjasza” Händla. Ktoś parzył kawę i wiatr przyniósł zapach aż tutaj. Nie musiała patrzeć na plan. Od dawna miała to miasto zapisane w wyobraźni. Wstała z ławki, wzięła swoje rzeczy, poszła wzdłuż parku, wąskiego pasa między ulicami, zielonej żyły w ciele miasta. Przeszła przez parking obok jednego z budynków UWM, główną ulicą obok betonowej, szaro-czerwonej narodził centrum handlowego i pruskiego aresztu otoczonego pokrytym reklamami murem. Przez Stare Miasto, gdzie wymieniła spojrzenia z Jakubem Pielgrzymem unieruchomionym w piaskowcu obok nieczynnej fontanny. Przez most nad Łyną. Obok byłych koszar. Skrajem miasteczka uniwersyteckiego. Zostawiła za plecami jezioro. Ciche uliczki, dom-

ki jednorodzinne. Żonkile, tulipany. Czarny kot z agresywnymi oczami przechadzał się leniwie. Inny, pręgowany, przeskoczył płot.

Biało-błękitna figura Matki Boskiej w wypielegnowanym ogródku lśniła oślepiająco w promieniach słońca. Przy otwartej furtce sąsiedniej posesji stała ciemnowłosa, średniego wzrostu kobieta w jasnej spódnicy, bluzce i klapkach. Naklejała ogłoszenie. Przez uchylone okno było widać jej kuchnię, wyszorowana patelnia na ścianie kipiała światłem.

Przystanęła i postawiła obie torby na ziemi.

— Dzień dobry. — Popatrzyła na twarz kobiety, ale potem opuściła wzrok i przyglądała się jej stopom, bladym, z wysokim podbiciem i drobnymi palcami.

— Dzień dobry. — Kobieta odczuła to spojrzenie tak dotykalnie, że zbliżyła rękę do stopy, żeby je strzepnąć, ale zakłopotana, cofnęła ją szybko. Taśma klejąca została jej na palcach drugiej ręki, ogłoszenie trzepotało. — Pani kogoś szuka?

— Będę tu mieszkać — wyjaśniła.

Zdumienie, które ogarnęło kobietę, było tak silne, że graniczyło z szokiem.

— Przecież dała pani ogłoszenie. — Ta, która przyszła, dotknęła kartki, która wrywała się jak ptak.

— Ale przecież...

— Może je pani zdjąć.

— Ale jakim sposobem...

— Zapłacę z góry i tak dalej. Nie piję i nie puszczam techno o drugiej w nocy. Chcę wejść i wziąć prysznic. —

Uśmiechnęła się.

Uśmiech. Kobieta zapatrzona w niego ogłupiała, sklepiła sobie do reszty palce taśmą, zdejmując zapisaną swoim kaligraficznym pismem kartkę. Najdziwniejsze było to, że coś jej ten uśmiech przypominał, tylko nie miała pojęcia co.

— No dobrze, w sumie chciałam ten pokój wynająć jak najszybciej. Przedtem mieszkała tu para studentów, na tej ulicy w ogóle dużo studentów mieszka, mają blisko na zajęcia. Źle trafiłam, zarzekali się, że są spokojni. I byli. Przez miesiąc. Potem co dwa dni robili imprezę. Przez całą noc miałam dyskotekę, a rano musiałam wyciągać obcych ludzi z wanny. Dziecko rano idzie do szkoły, ja mam dyżury, bo jestem pielęgniarką. Prosiłam, groziłam, przez tydzień było lepiej, a potem znów od nowa. Wreszcie ich wyrzuciłam. Jeśli pani będzie mieszkać sama, to policzę...

— Będę mieszkać sama. — Założyła plecak, dwie torby wzięła w prawą rękę, lewą jednym ruchem oderwała od dłoni kobiety w klapkach ogłoszenie i zwinęła je w kulkę. Wylądowało w blaszanym kubie na śmieci.

— Jak długo?

— Jak długo będzie trzeba.

— Chciałabym podpisać umowę. Może na pół roku? Zawsze może pani zrezygnować, tylko proszę mi o tym powiedzieć choć dwa tygodnie wcześniej.

— Proszę bardzo.

Kobieta gestem wskazała kuchnię, przyniosła wydrukowaną umowę.

— Przepraszam, że tutaj, ale biurko jest w pokoju Oli, nie chcę jej budzić, a ja w swoim mam tylko taki mały chwiejny stolik. — Położyła dłoń na ciemnym blacie dębowego stołu kojarzącego się z niedzielnym obiadem tradycyjnej rodziny. Odruchowo sprawdziła, czy nie zrobiła jakiegoś błędu. Własne imię, Hanna, wydawało jej się dziwne i obce, zawsze takie było, na każdym dokumencie. Jakby w jakichś niepamiętnych czasach nazywała się inaczej.

— Proszę przeczytać.

Tamta kobieta przebiegła wzrokiem tekst, trzymając kartkę dwoma palcami. Wyjęła wieczne pióro z kieszeni czerwonych sztruksów i pisała szybko, lewą ręką, opierając umowę o powietrze. Z drugiej kieszeni wyciągnęła banknoty w tym momencie, kiedy Hanna wymieniła już sumę, ale jeszcze nie wspomniała, że płaci się z góry. Pieniądze długo leżały na stole, bo gospodyni odnalazła w umowie miejsce przeznaczone na imię i nazwisko najemcy. Natychmiast podniosło się jej ciśnienie, aż do szumu w uszach.

— To jakiś żart? Albo pseudonim? Dowodu osobistego też pani nie ma? — Zauważyła następną lukę. — Przecież ta umowa jest nieważna. Drozd Zielona Różdżka! Kompletna bzdura! — Hannie zabrakło tchu. Inwencji też.

— Tak się nazywam. A dowód mam, tylko nie lubię się nim posługiwać. Umowa jest ważna. Zresztą nikt poza nami nie będzie jej oglądał. Naprawdę. Idę wziąć ten prysznic.

Po chwili Hanna siedziała przy stole, czując ku swojemu najwyższemu zdumieniu, że na tym wyjaśnienia

skończyły się raz na zawsze. Nie miała ochoty protestować, wykazywać niedorzeczności w słowach Drozd, dzwonić, krzyżeć. Z łazienki dobiegał głośny szum wody i niewyraźne odgłosy piosenki w nieznanym języku. Po dłuższej chwili do kuchni wpadła Ola.

— Kto to był? Głodna jestem. I nie mogę się umyć — zawołała. Jeszcze nie zamilkła, a już wtuliła się w Hannę i nastąpiły zwykłe poranne pieszczoty.

— Jeśli posiedzi za długo, zapukamy. To taka pani, która będzie u nas mieszkać. — Pocałowała ją jeszcze raz. — Umyj na razie ręce tutaj, to zjesz śniadanie. — Wyjęła jajka, masło, zapaliła gaz.

— No widzisz, po co się martwiłaś się, że będziesz długo szukać? — Ola wytwarzała ogromne ilości piany z niebieskiego mydła. — Mamo, a to jest Polka? Po jakiemu mówiła?

— Po polsku. Tak samo dobrze jak ja albo ty.

— Ale jest czarna.

— Pewnie ma czarnego ojca.

Jeszcze kilka lat wcześniej w Kortowie uczyło się kilkoro czarnych studentów i pracowało małżeństwo Pakistańczyków. Ale Ola mogła ich już nie pamiętać.

— To czemu nie mieszka w Afryce, tam gdzie są inni czarni? Albo w Ameryce?

— Czarni są w wielu krajach. W Europie też. A ona mogła się urodzić i całe życie mieszkać w Polsce. Skąd mam wiedzieć? Nie pytałam jej, kotku. Nie chciałam być wścibska.

Pomyślała, że z tym brakiem wścibstwa to nawet przesadziła. Nie ma pojęcia, gdzie ona pracuje, po co przyjechała do Olsztyna i skąd, na litość boską, wiedziała o tym pokoju do wynajęcia. Kto mówi, stojąc przed furtką: „Będę tu mieszkać?”. Boże, a jeśli to terrorystka?

— Pani Maria będzie się czepiać — oznajmiła Ola znad jajecznicy. — Mówi, że czarni roznoszą HIV-a. Że nie powinni ich wpuszczać do Polski.

— Nie ma racji. HIV przenoszą różni ludzie. Biali, czarni, Azjaci. To zależy tylko od tego, czy byli ostrożni, czy nie. Gdzie to słyszałaś?

— Siedziała razem z tymi parafialnymi paniami w ogrodzie i głośno rozmawiały. Z czym ostrożni?

— Z krwią. Można się zarazić przez dotyknięcie krwi kogoś chorego. To znaczy jeśli sama masz jakieś skaleczenie i ta krew wejdzie pod skórę. — Hanna westchnęła, przystosowując naprędce swoje wiadomości do poziomu ośmiolatki. Bardzo inteligentnej, o ile miłość jej nie zaślepiała, ale inteligencja nie zrobi z dziecka dorosłego.

— Albo sperma. Seks z kimś zarażonym też jest niebezpieczny.

— One mówiły, że najgorsza jest prezerwatywa.

— Pomyliły się. Prezerwatywa zupełnie nieźle chroni. Chociaż nie w stu procentach. Tylko nie powtarzaj tego w szkole. Oni uważają, że nie powinnaś o tym wiedzieć nawet po ślubie — wyrwało jej się.

— By cię wezwali na dywanik?

— Łagodnie rzecz ujmując. A teraz idziemy do łazien-

ki, ona już wyszła.

— Dlaczego ona? Jak ma na imię?

— Drozd Zielona Różdżka — wyrzuciła z siebie Hanna, czując się tak, jakby dopiero teraz, wymawiając to imię, pogodziła się z istnieniem jego właścicielki. Bo chyba się pogodziła. Jakaś część jej umysłu chciała nawet poczuć radość, że w jej nijakim życiu zdarzyło się coś niezwykłego.

— Fajnie — skomentowała Ola. Powtórzyła „Drozd Zielona Różdżka”, odkręcając prysznic. Wyśpiewywała te trzy słowa w przerwach między wypluwaniem wody. Hanna, pomagając jej się umyć, wciąż rozpamiętywała kilka porannych minut. Drozd Zielona Różdżka. Imię jak z bajki. Osobliwej gry. Chyba że ta dziwna kobieta jest po prostu chora psychicznie. Hanna знаła jednak takich ludzi. To spojrzenie, ten uśmiech — to było coś zupełnie innego. Z drugiej strony: z pewnością istnieje wytłumaczenie banalne jak telenowela. Może to imię jest tłumaczeniem z afrykańskiego? Może z jakichś powodów nie znosi swojego? Jej koleżanki z pracy czasem robiły tak samo. Marianna była Elżbietą nawet na liście dyżurów, Wiktoria — Barbarą, Teresa — Magdaleną. Czasami o tym, co która ma wpisane w dowodzie, dowiadywała się po paru latach. Może to artystka. Może przyjechała odnaleźć rodzinę. Ale kto jeszcze wiedział o wolnym pokoju? Jak to kto? Krystian z Moniką! Pewnie jakoś się z nimi zetknęła. Teraz wszystko można załatwić przez internet. Powiedzieli jej pewnie, że pokój jest tani, a gospodyni ma miękki charakter. Wyrzuciła ich. Akurat. Gdyby nie listonosz, który przypadkiem

słyszał, jak ich prosi, żeby się wyprowadzili, siedzieliby tu pewnie do dziś. To listonosz huknął na nich z góry, zagroził policją i obiecał osobiście sprawdzić, czy znikną, tak jak obiecali, w ciągu dwu dni.

— Pośpiesz się, za dziesięć minut musimy wyjść. — Ola udała, że nie słyszy. Hanna zakręciła wodę, wyjęła dziewczynkę z wanny i narzuciła wielki ręcznik na jej plecy.

— Ja bym się wołała spóźnić. Szkoła jest nudna. Nie można się spytać o HIV-a ani co to była lustracja, ani dlaczego anioły wołały być diabłami. Niektóre. A najnudniejsza jest nowa pani od religii. I uwielbia świętą Teresę, bo to jej patronka. I na przerwach ciągle czyta książki o niej. Raz tam zajrzałam, bo zostawiła książkę na biurku, i tam było napisane: „Całe życie cierpieć, a potem umrzeć”. Ona tak lubiła. To chyba była kopnięta.

— Nie mów „kopnięta”.

— Ale ona była. I nie lubię mundurka. A ty wiesz więcej od pań w szkole.

— Ja nie znosiłam fartuszka — przyznała niepedagogicznie Hanna. — Ale nie mogę zarządzić zniesienia tych mundurków. Nie o wszystkim wiem więcej, kotku, na razie jesteś w drugiej klasie, to jakoś nadażam. Szkołę trzeba przeżyć, żeby potem znaleźć pracę, mieć pieniądze na jedzenie i mieszkanie.

— A jak się zostanie piosenkarką?

— To się rzadko udaje. Poza tym nie zauważyłam, żebyś była aż tak dobra z muzyki, kochanie. Lepiej skończyć szkołę, tak na wszelki wypadek. Spakowałaś się? Jeszcze

o tym porozmawiamy, ale teraz lećmy.

— A jak się ma bogatego męża? — Ola, ulżywszy sobie paroma uwagami na temat ministra edukacji, ubrała się błyskawicznie i chwyciła plecak.

— Bogaty mąż może się rozwieść albo zbankrutować. Albo umrzeć. Zresztą lepiej mieć coś swojego, prawda?

— A ty się z tatą rozwiedziesz?

— Nie wiem. — Hanna poczuła ukłucie w sercu i po jej ciele natychmiast rozlało się przygnębienie. Miała ochotę zezłościć się na Olę za to pytanie, ale nie potrafiła. Lubiła jej szczerość.

— A żałujesz, że za niego wyszłaś?

— Nie, bo dzięki temu ty się urodziłaś.

— Ale mogłaś wyjść za Mariusza.

— Był wściekle zazdrosny. Nie wiadomo, co by z tego wyszło. Po co ja ci o nim mówiłam? — Zdenerwowana przyspieszyła kroku.

— Bo znalazłam jego zdjęcia.

— Tak, ale... Chciałabyś, żeby tata mieszkał z nami?

— Ale żeby nie krzyczał i się nie obrażał. I nie pił piwa w ogrodzie. I nie wyjeżdżał ciągle do Niemiec.

— A jakby było tak jak przedtem?

— To niech się wypcha.

— Ola! To twój tata.

— To niech się zachowuje jak tata.